

LEV GROSSMAN
CZARODZIEJE

fragment

Z języka angielskiego przełożyła
Monika Wyrwas-Wiśniewska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

księga I



Brooklyn

Quentin zrobił magiczną sztuczkę. Nikt tego nie zauważył. Szli razem szarym nierównym chodnikiem: James, Julia i Quentin. James i Julia trzymali się za ręce. Tak to się teraz układało. A ponieważ chodnik nie był dość szeroki dla nich trojga, Quentin włókł się za nimi jak nadąsane dziecko. Wolałby iść sam z Julią albo po prostu sam, kropka, ale nie można mieć wszystkiego. A przynajmniej większość dowodów wskazywała na prawdziwość tej tezy.

– Dobra, Quen – powiedział przez ramię James. – Porozmawiajmy o strategii.

James miał coś jakby szósty zmysł, za pomocą którego wyczuwał, kiedy Quentin zaczyna się nad sobą użalać. Rozmowa Quentina wypadała za siedem minut. Rozmowa Jamesa miała się odbyć zaraz potem.

– Mocny uścisk dłoni. Przez cały czas kontakt wzrokowy. A kiedy poczuje się swobodnie, ty walniesz go krzesłem, a ja przechwyczę jego hasło i wyślę e-mail do Princeton.

– Bądź po prostu sobą, Quen – poradziła Julia.

Ciemne włosy ściągnięte miała do tyłu w kok. Zawsze była dla niego taka miła, co z jakichś powodów tylko pogarszało sprawę.

– A to jakaś różnica?

Quentin znów zrobił magiczną sztuczkę. Taką niewielką: klasyczna wędrownka monety po knykciach. Zrobił ją w kieszeni płaszczka, więc nikt jej nie mógł zobaczyć. Powtórzył ją, a potem wykonał w drugą stronę.

– Wiesz co, chyba wiem, jak brzmi to hasło – powiedział James.
– „Hasło”.

Niesamowicie, od jak dawna to trwa, pomyślał Quentin. Mieli za ledwie po siedemnaście lat, choć miał wrażenie, że zna Jamesa i Julię od zawsze. System oświatowy Brooklynu polegał na odsiewaniu co zdolniejszych uczniów, pakowaniu ich do jednej grupy, a potem na oddzielaniu tych absurdalnie zdolnych od tych po prostu zdolnych i łączeniu ich w nową grupę. W rezultacie już od szkoły podstawowej bez przerwy wpadali na siebie a to na konkursach krasomównstwa, a to na stanowych olimpiadach łacinników, a to na kameralnych, prowadzonych specjalnie dla nich superzaawansowanych lekcjach matematyki. Największe kujony wśród wszystkich kujonów. Więc teraz, w ostatniej klasie liceum, Quentin znał Jamesa i Julię lepiej niż kogokolwiek, wliczając w to własnych rodziców, a oni znali również dobrze jego. Wszyscy wiedzieli, co które z nich powie, nim jeszcze otworzyło usta, a ci, którzy mieli się ze sobą przespać, już to zrobili. Julia – błada, piegowata rozmarzona Julia, która grała na oboju i radziła sobie z fizyką nawet lepiej niż Quentin – nigdy nie zamierzała się przespać właśnie z nim.

Quentin był wysoki i chudy. Garbił się, wечно gotowy na nagły cios z niebios, który zgodnie z logiką najpierw powinien zgnieść ludzi wysokich. Jego długie do ramion włosy zamrzły w strąki. Powinien był je wysuszyć po wychowaniu fizycznym, tym bardziej że miał dziś rozmowę kwalifikacyjną, ale z jakichś powodów – może dlatego, że opanowała go potrzeba autodestrukcji – nie zrobił tego. Szare chmury wisiały nisko, grożąc opadami śniegu. Quentin miał wrażenie, że specjalnie na jego cześć świat przybrał formę małego

tableau nieszczęścia: wrony na drutach, rozdeptana psia kupa, śmieci wywiane z kosza przez wiatr, trupy niezliczonych mokrych liści dębu zbezczeszczone na niezliczone sposoby przez niezliczone pojazdy i przechodniów.

– Boże, ależ jestem nażarty – stwierdził James. – Za dużo zjadłem. Dlaczego ja zawsze jem za dużo?

– Ponieważ jesteś żarłoczną świnią? – zasugerowała pogodnie Julia. – Ponieważ nie masz już ochoty oglądać swoich stóp? Ponieważ chcesz dotknąć brzuchem czubka penisa?

James założył ręce za głowę, wsunął palce w falujące kasztanowe włosy. Jego płaszcz z wielbłądziej wełny rozchylił się, otwierając drogę listopadowemu chładowi. James czknął głośno. Chłód nigdy mu nie przeszkadzał. W przeciwieństwie do Quentina, który czuł zimno praktycznie przez cały czas, jakby został uwięziony w swojej własnej prywatnej zimie.

James zaczął śpiewać na melodię przypominającą nieco *Good King Wenceslas i Bingo*.

*Dawno temu był sobie chłopiec
Młody, odważny i si-ilny
Miał z sobą miecz i jeździł na koniu
A nosił imię Dave-o...*

– Jezu, przestań! – krzyknęła piskliwie Julia.

James napisał tę piosenkę pięć lat temu, na konkurs młodych talentów, i nadal lubił ją śpiewać, w wyniku czego wszyscy znali ją na pamięć. Ponieważ nie zamilkł, Julia pchnęła go na śmietnik, a kiedy i to nie pomogło, zerwała mu z głowy marynarską czapkę i zaczęła go nią okładać.

– Moje włosy! Moja piękna fryzura!

Król James, pomyślał Quentin. *Le roi s'amuse*.

– Nie chciałbym wam przerywać, ale zostały nam tylko dwie minuty – powiedział.

– Och, mili moi, mili moi – zaświergotała Julia. – Księżna! Spóźnimy się!

Powinienem być szczęśliwy, pomyślał Quentin. Jestem młody, żyję, zdrowie mi dopisuje. Mam przyjaciół. Mam dwoje w zasadzie nieużywanych rodziców – znaczy się tatę, redaktora podręczników do medycyny, i mamę, rysownika reklam z niespełnioną ambicją zostania poważną malarką. Należę do solidnej klasy średniej. I mam średnią ocen wyższą, niż większość ludzi jest sobie w stanie wyobrazić.

Niemniej, idąc w czarnym płaszczu i szarym wyjściowym garniturze Piątą Aleją Brooklynu, zdawał sobie sprawę, że wcale nie jest szczęśliwy. Dlaczego? Tak starannie kolekcjonował wszystkie elementy składające się na szczęście. Odprawił wszystkie konieczne rytuały, wypowiedział właściwe słowa, zapalił świece, złożył ofiary. Jednakże szczęście, niczym nieposłuszny duch, nie chciało się pojawić. Nie miał pojęcia, co jeszcze powinien zrobić.

Szedł za Jamesem i Julią, mijając sklepy spożywcze, pralnie, modne butikiki, ozdobione jaskrawymi neonami salony operatorów komórkowych, bary, gdzie już zebrali się nad kieliszkiem starcy, choć była zaledwie trzecia czterdzieści pięć po południu, oraz Dom Weteranów Wojen Zamorskich, zbudowany z brązowej cegły, z plastikowymi meblami ogrodowymi ustawionymi na chodniku przed wejściem. Miał wrażenie, że wszystko to tylko potwierdza jego przekonanie, że z powodu jakiegoś urzędniczego błędu kosmicznej biurokracji jego prawdziwe życie, to, które powinien prowadzić, dostało się komuś innemu, a on otrzymał w zamian ten gówniany substytut. Tak nie powinno być.

Może jego prawdziwe życie zacznie się w Princeton. Znów zrobił w kieszeni sztuczkę z monetą.

– Bawisz się wackiem? – spytał James.

Quentin się zaczerwienił.

– Nie.

– Nie ma się czego wstydić. – James poklepał go po ramieniu.
– To oczyszcza umysł.

Wiatr przedarł się przez cienki materiał wyjściowego garnituru Quentina, ale chłopak nie miał ochoty zapinać płaszcza. Pozwolił, by przeniknął go chłód. To i tak bez znaczenia, bo przecież tak naprawdę przebywał zupełnie gdzie indziej.

Był w Fillory.

Fillory i dalej Christophera Plovera to cykl pięciu książek dla dzieci opublikowany w Anglii w latach trzydziestych XX wieku. Opowiada o przygodach pięciorga małych Chatwinów w czarodziejskiej krainie, którą odkrywają podczas wakacji u ekscentrycznego wujostwa. Tak naprawdę wcale nie są na wakacjach – ich ojciec tkwił po pas w krwi i błocie w Passchendaele, a matka trafiła do szpitala, zapadłszy na tajemniczą chorobę najpewniej natury psychicznej. Dlatego zostają wysłani na wieś.

Jednak wszystkie te nieprzyjemne wydarzenia rozgrywają się gdzieś w tle opowieści. Tak naprawdę książki opowiadają o tym, jak przez trzy kolejne lata w każde letnie wakacje Chatwinowie wracają ze swoich szkół z internatem do Kornwalii i odszukują drogę do tajemnej krainy Fillory, gdzie przeżywają rozmaite przygody i bronią tamtejszych mieszkańców przed różnymi zagrażającymi im niebezpieczeństwami. Najdziwniejszym i najbardziej nieustępliwym z wrogów jest zamaskowana postać znana jako Nadzorczyńni Czasu. Jej zegarmistrzowskie zaklęcia grożą zatrzymaniem czasu i uwięzieniem całego Fillory w godzinie piątej pewnego szczególnie ponurego, wilgotnego popołudnia pod koniec września.

Jak większość ludzi Quentin przeczytał książki o Fillory w szkole podstawowej. Natomiast w przeciwieństwie do większości ludzi – na

przykład do Jamesa i Julii – nigdy nie wyzwolił się z ich czaru. To tam uciekał, kiedy nie mógł sobie poradzić z prawdziwym światem, czyli bardzo często. (Fillory było równocześnie pociechą za to, że Julia go nie kocha, i zapewne główną przyczyną, dla której go nie kochała). To prawda, tkwiła w tych książkach silna atmosfera angielskiego pokoju dziecinnego. Quentin czuł się w głębi duszy zażenowany, kiedy dochodził do tych kawałków o Przytulnym Koniu, wielkim przyjacielskim zwierzaku, który co noc krążył po Fillory na aksamitnych kopytach i miał tak szeroki grzbiet, że można by na nim spać.

Ale w Fillory tkwiła bardziej uwodzicielska i bardziej niebezpieczna prawda, taka, z której nie potrafił się wyzwolić. Zupełnie tak, jakby książki o Fillory – szczególnie pierwsza, *Świat w ścianach* – opowiadały o samym czytaniu. Kiedy najstarszy z Chatwinów, melancholijny Martin, otwiera stojący zegar w ciemnym wąskim holu w domu ciotki i przechodzi do Fillory (Quentin zawsze wyobrażał sobie, że odsuwa na bok wahadło, jak jęczyzek w ogromnym gardle), to tak jakby otwierał okładkę książki, lecz takiej, która robi to, co książki zawsze obiecują zrobić i nigdy nie dotrzymują słowa: sprawia, że opuszczasz, naprawdę opuszczasz miejsce, gdzie się znajdujesz, i wkraczasz zupełnie gdzie indziej.

Świat, który odkrywa Martin w ścianach domu ciotki, to świat czarodziejskiego zmierzchu, krajobraz równie czarno-biały i surowy jak zadrukowana stronica, z polami pokrytymi ścierniskiem i falistymi wzgórzami poprzecinanymi masą kamiennych murków. W Fillory codziennie w południe jest zaćmienie słońca, a jedna pora roku może trwać setki lat. W niebo celują pozbawione liści drzewa. Jasnozielone morze uderza falami w wąskie białe plaże pokryte pokruszonymi muszlami. W Fillory rzeczy mają znaczenie, inaczej niż w tym świecie. Kiedy coś tam się dzieje, czujesz właściwe emocje. Szczęście to rzeczywista, osiągalna możliwość. Przychodzi, kiedy je zawołasz. A tak naprawdę nigdy cię nie opuszcza.

Zatrzymali się przed domem. Stał w tej bardziej luksusowej części Brooklynu, o szerokich chodnikach i cienistych drzewach. Zbudowano go z cegły – jedyny wolno stojący budynek wśród rzędów kamienic z piaskowca. Słynął w okolicy, ponieważ odegrał pewną rolę w krwawej i kosztownej bitwie brooklyńskiej. Zdawał się delikatnie ganić samochody i lampy uliczne, roztaczając wokół siebie aurę wytwornej holenderskiej przeszłości.

Gdyby to była powieść o Fillory – pomyślał Quentin tak dla porządku – to właśnie w tym domu znajdowałoby się tajemne przejście do innego świata. Starzec, który tu mieszka, okazałby się uprzejmy i ekscentryczny, raz po raz rzucałby tajemnicze uwagi, a kiedy zająłby się czymś, Quentin trafiłby na pewno na tajemniczą szafę albo zakłętą wyciąg kuchenny, albo coś tam, przez co mógłby zerknąć zachłannym okiem na czyste łono innego świata.

Tyle że to nie była powieść o Fillory.

– No to zgotujcie im hades – powiedziała Julia.

Miała na sobie niebieskie palto z okrągłym kołnierzem. Wyglądała w nim jak francuska uczennica.

– Zobaczmy się może w bibliotece.

– Powodzenia.

Tręcili się żółwikami. Julia spuściła wzrok zażenowana. Wiedziała, co Quentin czuje, a Quentin wiedział, że ona wie, więc nie zostało nic więcej do powiedzenia. Udając, że fascynuje go zaparkowany samochód, przeczekał jej pożegnalny całus z Jamesem – położyła mu rękę na piersi i stanęła na palcach jak gwiazdka niemego kina – po czym razem z przyjacielem ruszył powoli betonową ścieżką prowadzącą do wejścia.

James objął Quentina ramieniem.

– Wiem, co myślisz – powiedział szorstko. Quentin był wyższy, natomiast James szerszy, mocniej zbudowany, więc udało mu się wytrącić ciało Quentina z równowagi. – Myślisz, że nikt cię nie ro-

zumie. Ale ja cię rozumiem. – Ścisnął niemal po ojcowsku ramiona przyjaciela. – Tylko ja cię rozumiem.

Quentin nie odpowiedział. Zazdrościł Jamesowi, a równocześnie nie potrafił go nienawidzić, ponieważ oprócz urody i rozumu James miał w sobie coś jakby zwyczajną dobroć. Pod jakimś względem przypominał Quentinowi Martina Chatwina. Skoro jednak James był Chatwinem, kim w takim razie był Quentin? Prawdziwy problem z Jamesem polegał na tym, że zawsze to on grał rolę bohatera. I jaki miało się wtedy wybró? Pozostawało być albo wiernym giermkim, albo czarnym charakterem.

Quentin zadzwonił do drzwi. Gdzieś w czeluściach mrocznego domostwa rozległ się cichy metaliczny dźwięk. Staromodny dzwonek analogowy. Quentin powtarzał w myślach listę zajęć pozalekcyjnych, postawionych sobie celów i tak dalej. Przygotował się idealnie do tej rozmowy pod każdym możliwym względem, może wyjąwszy niewysuszone włosy, jednak teraz, kiedy ujrzał przed samym nosem dojrzały owoc tych wszystkich przygotowań, nagle stracił na niego ochotę. Nie zaskoczyło go to. Przywykł do tego uczucia rozczarowania – kiedy odwalił już całą pracę, żeby coś osiągnąć, nagle przestawało mu na tym zależeć. To uczucie prześladowało go bezustannie. Było jedną z niewielu rzeczy, na których mógł polegać.

Wejścia strzegły przygnębiająco zwyczajne małomiasteczkowe drzwi z siatki. Po obu stronach, wbrew ogrodniczej logice, nadal kwitły pomarańczowe i fioletowe cynie rozmieszczone w przypadkowych konfiguracjach na klombach z czarną ziemią. To dziwne, że nadal kwitną, chociaż jest listopad, pomyślał Quentin bez śladu zaciekawienia. Schował gołe ręce w rękawy płaszcza i wetknął końce rękawów pod pachy. Choć było tak zimno, że powinien spaść śnieg, zaczął padać deszcz.

Pięć minut później nadal padało. Quentin zapukał ponownie do drzwi, po czym pchnął je lekko. Uchyliły się, poczuł powiew ciepłego powietrza. I ciepły owocowy zapach obcego domu.

– Halo? – zawołał. Wymienili z Jamesem spojrzenia. Pchnął drzwi nieco mocniej.

– Może dajmy mu jeszcze minutę.

– Kto zajmuje się czymś takim w wolnym czasie? – spytał Quentin. – Założę się, że to pedofil.

W holu panowała ciemność i cisza, wszelkie dźwięki tłumiły orientalne dywany. Nadal stojąc na zewnątrz, James nacisnął dzwonek. Nikt nie zareagował.

– Chyba nikogo nie ma – powiedział Quentin. Ponieważ James nie wchodził do środka, on tym bardziej chciał tam wejść. Pomyślał, że jeśli człowiek, z którym mieli się spotkać, okaże się strażnikiem wejścia do Fillory, to wielka szkoda, że nie włożył wygodniejszych butów.

Na wprost schody na górę. Po lewej sztywna, wyglądająca na nieużywaną jadalnia, po prawej przytulna bawialnia ze skórzanymi fotelami i rzeźbioną szafą wysokości człowieka. Interesujące. Połowę ściany zajmowała stara mapa morska, sięgała powyżej głowy Quentina, z ozdobną różą wiatrów w rogu. Pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika światła. W rogu stało krzesło, lecz nie usiadł na nim.

Wszystkie żaluzje były opuszczone. Panowała tu ciemność, nie taka jak w domu z zaciągniętymi zasłonami, ale taka prawdziwa, nocna, jakby słońce już zaszło albo jakby w chwili, kiedy przekroczył próg, nastąpiło zaćmienie. Powoli wszedł do bawialni. Za chwilę wyjdzie na zewnątrz i znów zacznie wołać. Za małą chwilkę. Teraz jednak musi spojrzeć. Ciemność napierała na niego jak naelektryzowana chmura.

Zobaczył ogromną szafę, tak wielką, że można by do niej wejść. Położył rękę na małej podrapanej mosiężnej gałce. Nie była zamknięta na klucz. Palce mu zadrzały. *Le roi s'amuse*. Nie mógł się powstrzymać. Miał wrażenie, że świat obraca się wokół niego, jakby całe jego życie prowadziło właśnie do tej chwili.

Okazało się, że jest to szafa na alkohol. Wielka, w zasadzie w środku mieścił się cały bar. Dla pewności Quentin włożył rękę za rzędy cicho pobrzękujących butelek i pomacał suchą nierówną płytę pilśniową z tyłu. Okazała się twarda, pozbawiona wszelkich magicznych cech. Posapując, zamknął drzwi, twarz mu pałała w ciemności. Dopiero kiedy się odwrócił, chcąc się upewnić, że nikt go nie obserwuje, zauważył na podłodze ciało.

Piętnaście minut później w holu panowało zamieszanie. Quentin siedział w kącie na krześle jak żalobnik na pogrzebie obcej osoby. Oparł tył głowy o chłodną ścianę, jakby to był jego jedyny punkt styczności z rzeczywistością. James stał obok niego. Sprawiał takie wrażenie, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami. Nie patrzyli na siebie.

Stary mężczyzna leżał na podłodze na plecach. Miał wydatny brzuch i posiwiąłą zwariowaną fryzurę Einsteina. Wokół niego kucąło troje ratowników, dwóch mężczyzn i kobieta, rozbijając, niemal niestosownie ładna – w tej ponurej scenerii wydawała się nie na miejscu, jakby została obsadzona w niewłaściwej roli. Ratownicy robili swoje, choć nie była to błyskawiczna akcja mająca na celu ocalenie życia. To był ten inny rodzaj aktywności, obowiązkowa, choć nieskuteczna resuscytacja. Mruczeli do siebie coś cicho, pakowali sprzęt, odrywali plastry, wyrzucali zużyte igły do pojemnika na odpady medyczne.

Wyćwiczonym zdecydowanym ruchem jeden z mężczyzn ekstubował trupa. Usta starzec miał otwarte, Quentin widział jego szare martwe gardło. Poczul coś. Nawet w duchu nie chciał przyznać, że to słaby, gorzki zapach kupy.

- Źle to wygląda – stwierdził James, zresztą nie po raz pierwszy.
- Tak – przytaknął Quentin grubym głosem. – Niezwykle źle.
- Miał wrażenie, że wargi i zęby ma zupełnie zdrętwiałe.

Jeśli się nie ruszy, nie zostanie w to bardziej wmieszany, więc starał się oddychać powoli i siedzieć nieruchomo. Patrzył prosto przed siebie, usiłując nie przyglądać się temu, co działo się w bawialni. Wiedział, że jeśli popatrzy na Jamesa, zobaczy wierne odbicie stanu swojego umysłu, niekończący się korytarz paniki, który prowadzi donikąd. Zastanawiał się, kiedy będzie odpowiedni moment, żeby wyszli. Prześladował go wstyd, że wszedł do tego domu niezaproszony. Zupełnie jakby czyniło go to odpowiedzialnym za śmierć mężczyzny.

– Nie powinienem mówić, że to pedofil – powiedział na głos.
– To niewłaściwe.

– Bardzo niewłaściwe – zgodził się James. Mówili powoli, jakby obaj po raz pierwszy porozumiewali się w tym języku.

Jeden z ratowników podniósł się z kucek. Kobieta. Quentin patrzył, jak się prostuje, przyciskając dłonie do krzyża, po czym przekrzywia głowę raz na jedną stronę, raz na drugą. Potem ruszyła powoli w ich kierunku, zdejmując po drodze gumowe rękawiczki.

– Nie żyje – oznajmiła wesoło. Sądząc z akcentu, pochodziła z Anglii.

Quentin odchrząknął. Kobieta cisnęła rękawiczki do kosza na śmieci stojącego po drugiej stronie pokoju. Trafiała.

– Co mu się stało?

– Udar. Miły, szybki sposób odejścia, skoro trzeba odejść. A on musiał. Nie wylewał za kołnierz.

Wykonała dłonią gest wychylania kieliszka.

Policzki jej poczerwieniały od kucania nad ciałem. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubrana była w granatową zapinaną koszulę z krótkim rękawem, starannie wyprasowaną i z jednym guzikiem nie od kompletu. Stewardesa na pokładzie lotu prosto do piekła. Quentinowi przeszkadzała jej atrakcyjność. Z nieładnymi kobietami wszystko jest o tyle łatwiejsze – nie trzeba cierpieć z powodu ich nieosiągalności. Ale ratowniczkę trudno by uznać za nieładną.

Była blada i chuda, i irracjonalnie śliczna, z szerokimi, absurdalnie seksownymi ustami.

– Przykro mi. – Quentin nie wiedział, co powiedzieć.

– Dlaczego ci przykro? – spytała. – Zabiłeś go?

– Przyszedłem tu na rozmowę. Przesłuchiwał kandydatów do Princeton.

– Więc co cię to obchodzi?

Quentin się zawahał. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie odczytał źle założenia tej rozmowy. Wstał, co należało zrobić od razu, gdy podeszła. Był od niej dużo wyższy. Nawet w tych okolicznościach sady się za bardzo jak na ratowniczkę, pomyślał. Nie jest przecież lekarzem. Miał ochotę poszukać wzrokiem jej identyfikatora, nie chciał jednak zostać przyłapany na wpatrywaniu się w jej biust.

– Osobiście nic mnie to nie obchodzi, niemniej przywiązuję pewne znaczenie do życia ludzkiego jako abstrakcji – powiedział ostrożnie. – Dlatego choć nie znałem go osobiście, chyba mogę powiedzieć, że przykro mi, iż umarł.

– A jeśli to był potwór? Może naprawdę był pedofilem?

Słyszała ich.

– Może. A może to był miły facet. Może był święty.

– Może.

– Pewnie ma pani wiele do czynienia z trupami. – Kątem oka zauważył, że James przysłuchuje się tej rozmowie wyraźnie zbity z tropu.

– Nie, ta praca polega na tym, żeby utrzymać ich przy życiu. Tak nam przynajmniej wmawiają.

– To musi być ciężkie zajęcie.

– Martwi sprawiają dużo mniej kłopotu.

– Są cichsi.

– Właśnie.

Wyraz jej oczu nie pasował do tego, co powiedziała. Przyglądała mu się.

– Słuchaj – wtrącił się James. – Chyba powinniśmy już iść.

– Co się wam tak spieszy? – spytała. Nie odrywała wzroku od Quentina. W przeciwieństwie do praktycznie wszystkich ludzi wykazywała większe zainteresowanie nim niż Jamesem. – Ten facet chyba coś dla was zostawił.

Ze stolika z marmurowym blatem podniosła dwie duże koperty z malinowego papieru. Quentin zmarszczył brwi.

– Nie sądzę.

– Powinniśmy chyba iść – powiedział James.

– Już to mówiłeś – stwierdziła ratowniczką.

James otworzył drzwi. Zimne powietrze okazało się miłą odmianą. Wydawało się prawdziwe. Tęgo właśnie potrzebował Quentin: więcej realności. Mniej tego, co się tu działo.

– Powaga – powiedziała kobieta. – Uważam, że powinniście je wziąć. To może być coś ważnego.

Nie spuszczała wzroku z twarzy Quentina. Dzień wokół nich zamarł. Na werandzie było zimno i nieco wilgotno, a on stał jakies dziesięć metrów od prawdziwego trupa.

– Słuchaj, musimy już iść – upierał się James. – Dzięki. Na pewno zrobiliście wszystko co w waszej mocy.

Ratowniczką miała ciemne włosy zaplecione w dwa ciężkie warkoczki, na palcu błyszczący pierścionek z żółtym oczkiem, a na nadgarstku wymyślny stary srebrny zegarek. Do tego mały i spiczasty nos i podbródek. I trzymała w ręku dwie koperty z wypisanymi mazakiem ich nazwiskami. Zapewne zawierały odpisy ocen, poufne rekomendacje. Z jakichś powodów – może dlatego, że wiedział, iż James tego nie zrobi – Quentin wziął kopertę ze swoim nazwiskiem.

– No już, żegnam! – oznajmiła śpiewnie ratowniczką. Obróciła się na pięcie, weszła do domu i zamknęła drzwi. Zostali na schodach.

– I? – James odetchnął głęboko.

Quentin kiwnął głową, jakby się zgadzał z tym, co powiedział James. Powoli ruszyli ścieżką w stronę ulicy. Nadal czuł się oszołomiony. Niespecjalnie miał ochotę rozmawiać.

– Słuchaj – odezwał się James. – Chyba nie powinienesz być tego wzięć.

– Wiem – odparł Quentin.

– Jeszcze możesz ją zwrócić. No wiesz, bo co będzie, jak się dowiedzą?

– Jak niby mają się dowiedzieć?

– Nie wiem.

– Kto wie, co jest w środku? Może coś użytecznego.

– W takim razie dobrze, że ten facet umarł – parsknął z irytacją James.

Minęli następną przecnicę, nie mówiąc ani słowa, wściekli na siebie, choć nie chcieli się do tego przyznać. Chodnik był mokry, a niebo białe od deszczu. Quentin wiedział, że nie należało brać tej koperty. Złościł się w duchu na siebie, że ją wziął. I na Jamesa, że nie wziął swojej.

– Słuchaj, zobaczymy się później – oznajmił James. – Chcę złapać Julię w bibliotece.

– Jasna sprawa.

Podali sobie oficjalnie ręce. Pożegnanie sprawiło dziwnie ostateczne wrażenie. Quentin ruszył powoli Pierwszą Ulicą. Ktoś umarł w domu, z którego właśnie wyszedł. Nadal wydawało mu się, że to tylko taki sen. Uświadomił sobie – jeszcze jeden powód do wstydu – że w gruncie rzeczy czuje ulgę, że dziś nie musiał odbyć rozmowy kwalifikacyjnej do Princeton.

Zmierzchało. Słońce zachodziło już za szarą skorupą chmur, które spowijały Brooklyn. Po raz pierwszy od godziny Quentin pomyślał o rzeczach, które musiał dziś jeszcze zrobić: zadanie z fizyki, wypracowanie z historii, e-maile, zmywanie, pranie. Ciężar tych czynno-

ści przytłoczył go beznadziejnie w studni grawitacyjnej zwyczajnego świata. Będzie musiał wyjaśnić rodzicom, co się stało, a oni – w sposób, którego nigdy nie zdołał pojąć, a zatem nie potrafił też efektywnie się bronić – sprawią, że będzie się czuł, jakby to była jego wina. Wszystko będzie jak zwykle. Pomyślał o Jamesie, który spotka się z Julią w bibliotece. Będzie pracować nad wypracowaniem o kulturze zachodniej dla pana Karrasa – projekt obliczony na sześć tygodni wykona w ciągu dwóch bezsennych nocy i dni. Choć z całych sił pragnął, żeby Julia należała do niego, a nie do Jamesa, nigdy nie potrafił sobie tak dokładnie wyobrazić, jak mógłby ją zdobyć. W tej najbardziej prawdopodobnej z jego fantazji James umierał, nagle i bezboleśnie, a Julia szlochała bezradnie na ramieniu Quentina.

Idąc, odwinął czerwony sznurek zamykający kopertę. Zobaczył od razu, że to nie jest odpis jego ocen ani żaden inny oficjalny dokument. W kopercie znajdował się notatnik. Wyglądał na stary, brzegi miał tak wytarte, że zrobiły się gładkie i zaokrąglone, okładkę odbarwioną.

Na pierwszej stronie ujrzał odręczny napis wykonany czerwonym atramentem:

Czarodzieje
Księga szósta Fillory i dalej

Atrament z czasem zrobił się brązowy. Żadna z książek Christophera Plovera, które Quentin znał, nie nosiła tytułu *Czarodzieje*. Zresztą każdy kujon wiedział, że seria składa się z pięciu tomów.

Kiedy przewrócił kartkę, z notesu wyleciał złożony na pół kawałek białego papieru. Porwał go wiatr, przypłaszczył na chwilę do metalowego ogrodzenia, a potem zaniósł dalej.

Płot należał do ogrodu, trójkątnego skrawka ziemi, zbyt wąskiego i o zbyt dziwnym kształcie, żeby stanowił atrakcję dla developerów. Pra-

wa własności do niego stanowiły prawdziwą czarną dziurę w systemie prawnym, więc wiele lat temu został po prostu przejęty przez wspólnotę przedsiębiorczych mieszkańców, którzy wywieźli kwaśny piach, stanowiący podłoże Brooklynu, i zastąpili żyzną ziemią z północy stanu. Przez jakiś czas hodowali tu dynie i pomidory, i wiosenne kwiaty i grabili małe japońskie ogródki zen, choć ostatecznie się zaniedbali i zieleniec porosły odporne na wszystko miejskie chwasty. Przeprowadziły bezwzględna inwazję, dusząc słabszych, bardziej egzotycznych rywali. Właśnie w ten zarośnięty trójkąt poleciała kartka papieru i zniknęła.

O tej porze roku wszystkie rośliny albo już się zeschły, albo właśnie się zsychały, nawet chwasty. Quentin brodził w nich po pas, suche łodygi czepiały się jego spodni. Deptał butami potłuczone brązowe szkło. Przyszło mu do głowy, że kartka mogła zawierać numer telefonu seksownej ratowniczkii. Ogród był wąski, ale zaskakująco długi. Rosły tu trzy czy cztery duże drzewa, a im dalej szedł, tym robiło się mroczniej i chaszcze stawały się bardziej gęste.

Zauważył kartkę, wysoko, przylepioną do treliazu z zeschniętym bluszczem. Pomyślał, że pewnie przeleci przez płot, poza ogród, nim on się do niej dostanie. Zadzwoiła jego komórka – tata – lecz ignorował ją. Kątem oka chyba zobaczył, jak coś przefruwa za paprocią, dużą i niezdrowo bladą, jednak kiedy odwrócił głowę, zniknęło. Przedzierał się przez trupy mieczyków, petunii, sięgających mu do ramion słoneczników, krzewów róż – łamliwe sztywne łodygi i martwe kwiaty zamrożone jak na drukowanym wzorze.

Pomyślał, że chyba się już przebił do Siódmej Alei. Brnął dalej, potykając się o jakieś egzotyczne krzaki. Trujący bluszcz, akurat tego najbardziej w tej chwili potrzebował. Wśród suchych łodyg zauważył gdzieś absurdalnie zielone rośliny, diabli wiedzą skąd czerpiące siły życiowe. Poczul w powietrzu coś słodkiego.

Zatrzymał się. Nagle zrobiło się cicho. Nie słyszał klaksonów, muzyki, syren. Jego telefon przestał dzwonić. Zmarł okropnie, zgra-

biały mu palce. Zawrócić czy iść dalej? Ruszył przed siebie, przedarł się przez żywopłot, zamykając oczy i osłaniając twarz przed gałązkami. Potknął się o coś. Wystający kamień. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Pocił się.

Kiedy otworzył oczy, stał na skraju wielkiego, idealnie równego zielonego trawnika otoczonego drzewami. Odurzył go zapach świeżej trawy. W twarz świeciło mu gorące słońce.

Słońce, które wisiało pod niewłaściwym kątem. I gdzie, u licha ciężkiego, podziały się chmury? Widział przed sobą oslepiający błękit. W uchu wewnętrznym wirowało mu nieprzyjemnie, czemu towarzyszyły mdłości. Wstrzymał na kilka chwil oddech, potem wypuścił z płuc lodowate zimowe powietrze i odetchnął upałem lata. W powietrzu unosiła się masa pyłków. Kichnął.

Po drugiej stronie wielkiego trawnika stał wielki dom zbudowany z kamienia miodowej barwy. Dach z szarych dachówek składał się z licznych kominów, szczytów, wieżyczek i spadzistych płaszczyn. Pośrodku tkwiła wysoka dostojna wieża zegarowa, która nawet w oczach Quentina sprawiała wrażenie niepasującego dodatku. Osadzono w niej zegar w stylu weneckim: jedna spiczasta wskazówka krążąca po tarczy z dwudziestoma czterema godzinami oznaczonymi za pomocą rzymskich cyfr. Nad jednym skrzydłem budynku wznosiła się zielona od śniedzi miedziana kopuła obserwatorium. Dom odgradzało od trawnika kilka tarasów, żywopłotów i fontann.

Quentin był w zasadzie pewien, że jeśli przez kilka sekund postoi nieruchomo, wszystko wróci do normy. Zastanawiał się, czy przechodzi właśnie jakiś złowieszczy atak neurologiczny. Obejrzał się ostrożnie przez ramię. Nie zobaczył ogrodu, tylko dęby o wielkich liściach, straż przednią najwyraźniej bardzo poważnej puszczy. Poczuł, jak spod pachy spływa mu po żebrach strumyczek potu. Co za upał.

Rzucił torbę na trawę i strząsnął z ramion płaszcz. W ciszy zaćwierkał leniwie jakiś ptak. Piętnaście metrów dalej o drzewo opierał

się wysoki chudy nastolatek. Palił papierosa i przyglądał się Quentinowi.

Byli chyba w tym samym wieku. Nieznajomy miał na sobie zapinaną koszulę ze spiczastym kołnierzykiem w bardzo cienkie i bardzo blade różowe prążki. Nie patrzył na Quentina, po prostu zaciągał się papierosem i wydmuchiwał dym w letnie powietrze. Upał najwyraźniej mu nie przeszkadzał.

– Hej! – zawołał Quentin.

Chłopak spojrzał na niego. Uniósł lekko podbródek na powitanie, ale nie odpowiedział.

Quentin ruszył ku niemu tak nonszalancko, jak tylko się dało. Nie chciał wyglądać na kogoś, kto nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje. Nawet bez płaszcza pocił się jak mysz. Czuł się niczym nieadekwatnie odziany angielski odkrywca próbujący zrobić wrażenie na sceptycznie nastawionym tubylcu. Jedno musiał jednak ustalić od razu.

– Czy to...? – Odchrząknął. – Czy to jest Fillory?

Zmrużył oślepienie słońcem oczy.

Młody człowiek popatrzył na niego bardzo poważnie. Ponownie zaciągnął się głęboko papierosem, po czym powoli pokręcił głową, wydmuchując dym.

– Nie – powiedział. – To stan Nowy Jork. Północna część.